Nr. 33 (1647). Warszawa, 17 sierpnia 1912 r. Rok XXXII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Redakcja i Administracja Włodzimierska 5 Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kampanja przedwyborcza.

Okres poprzedzający wybory parlamentarne jest w każdym państwie konstytucyjnym najważniejszym momentem życia politycznego. W tym kilkotygodniowym okresie każdy obywatel urzeczywistnia pełnię swych praw i obowiązków. Punkt ciężkości ustroju konstytucyjnego, cała siła, powaga i sankcja ciał prawodawczych, płynie z owego aktu zbiorowej woli, któremu one swe mandaty zawdzięczają. Wszystko, co może nasuwać wątpliwość, co do istotnej zgodności woli wyborców ze stanowiskiem izby lub poszczególnych jej członków, kasuje tę sankcję, unieważnia działalność reprezentacji. Wybór dokonany pod presją zewnętrzną, zatym fałszujący wolę wyborców, musi być unieważniony przez komisję rugów. Votum nieufności wyrażone posłowi przez jego okręg, zmusza go do złożenia mandatu. Nawet rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów opiera się na tym założeniu, że może w danej chwili uchwała parlamentu nie zyska aprobaty najwyższej instancji — to jest głosującego ludu. Daje mu się tedy sposobność do odwołania — jeśli zechce — pełnomocników, którzy jego intencje źle spełniają lub źle rozumieją.

W zwykłym czasie zagadnieniami politycznymi zajmują się działacze specjalnie na ten cel powołani z ramienia ludu, lub z ramienia rządu. W czasie kampanji przedwyborczej staje się to nietylko prawem ale i obowiązkiem każdego obywatela.

Bardzo mylnie bowiem pojmują sprawę ci, co sądzą, że można by życie polityczne udoskonalić przez ściślejszy podział pracy, to jest przez powierzenie działalności politycznej wyłącznie specjalistom a usunięcie profanów od wszelkiego w niej udziału. Materjałem wszelkiej akcji politycznej jest ludność kraju, jej potrzeby, dążenia, interesa i ideały. Pozbawić ją głosu — byłoby to to samo co pozbawić polityków i mężów stanu najniezbędniejszych wskazówek i informacji.

Decydującym czynnikiem życia konstytucyjnego jest opinja publiczna. Im dany naród jest dojrzalszy, tym silniej się to uwydatnia, tym wyraźniej opinja krystalizuje się i dosadniej objawia.

Konstytucja angielska, nie skodyfikowana, nie zawarta w księgach, rozproszona w archiwach w formie całego szeregu billów parlamentarnych o różnej dacie i różnej donioslości — dla tego jest nienaruszalna, silnie zagwarantowana, że każdy obywatel angielski nosi ją w sobie. Każdy zna swe prawa, strzeże ich, korzysta z nich, na każdym kroku je urzeczywistnia.

Tam, gdzie prawo idzie swoją drogą a życie swoją, gdzie ustawy są martwą literą, kogóż może naprawdę interesować jakakolwiek zmiana praw? Nikt nie zna tych, co są, nikogo nie pali ciekawość, jakie będą. Nawet dyskusje parlamentarne nie budzą większego zajęcia niż akademickie rozprawy w jakimkolwiek klubie politycznym. Dowiadujemy się z nich o dążeniach i zapatrywaniach tego lub owego posła, tej lub owej grupy parlamentarnej, lecz położenia ogółu ludności nie zmienia nawet ostateczny rezultat głosowania.

Mniej więcej tak się przedstawia stan rze-

czy w Rosji i w tej części naszego kraju, która w skład państwa rosyjskiego wchodzi.

Nikt nie wątpi, że ani wola wyborców, ani wola posłów nie jest czynnikiem decydującym w biegu spraw politycznych, że każde prawo, które przejdzie przez Dumę, mogłoby równie dobrze wejść w życie bez Dumy lub nie wejść w życie mimo wyraźnej woli Dumy. Są przecież na to różne dawne i nowe przykłady Duma wyobraża parlament, lecz parlamentem nie jest. Tak samo i wybory — wyobrażają akcję wyborczą, lecz nią nie są naprawdę.

Ta zasadnicza różnica między istotnie a tylko pozornie konstytucyjnym życiem, nigdzie nie rysuje się tak jaskrawo jak w okresie przedwyborczym. Kampanja przedwyborcza w ścisłym znaczeniu tego słowa wogóle wcale nie istnieje, niema bowiem jej bez agitacji, a niema agitacji bez wolności zebrań.

Jest to tak dalece ważny punkt konstytucjonalizmu, że nawet tam, gdzie wolność polityczna jest dość ciasno odmierzona, wszelkie ograniczenia swobody zgromadzeń zawieszają się na czas wyborów. Nawet paragraf językowy w ostatniej niemieckiej ustawie o zgromadzeniach niema zastosowania w okresie wyborczym. Wybory są poprostu fikcją, tam gdzie nie mogą być przygotowane przez agitację, to jest przez swobodne porozumienie się obywateli, kogo i w jakim celu obierać mają.

U nas skutkiem długotrwałego zaniku życia publicznego, wytworzyły się co do tego pewne fałszywe pojęcia, przesądy, które każą na agitację polityczną spoglądać jako na czynnik niższego rzędu w życiu publicznym, podczas gdy jest to pierwszorzędny warunek normalnego rozwoju tego życia. Agitacja jest szkołą polityczną dla ludności, dobrą lub złą, to zależy od jej poziomu etycznego i umysłowego. Bynajmniej jednak nie można w tym widzieć poszanowania indywidualnej wolności wyborców, gdy im się każe rzucać kartki do urny na ślepo, bez namysłu, bez informacji i bez dyskusji. Takie wybory są pewnego rodzaju loterją i to najmniej zajmującą ze wszystkich, gdyż niewiadomą jest stawka i niewiadomą wygrana.

Ponieważ niema widoków, aby przed zbliżającymi się wyborami przywrócona została wolność zgromadzeń na wzór zachodnio-europejski, aby zatym i kampanja wyborcza w pełni rozwinąć się mogła, trudno przywiązywać wielką wagę do jej przebiegu i rezultatów, trudno nawet łudzić się, by szerokie zastępy wyborców dały się wciągnąć w wir walki politycznej.

Mandaty będą do wzięcia; weźmie je ten, kto zawczasu zorganizuje wystarczającą grupę ludzi, aby obsadzić swymi wyborcami wszystkie okręgi i umówić się z nimi o osoby posłów. Może tego dokonać nawet mała garstka, byle zgrana, zwarta i karna. Rezultat wyborów nie będzie wyrazem woli większości, większość bowiem niewątpliwie pozostanie w domu.

Charakterystyczną jest rzeczą, że najżywiej dotąd krząta się około wyborów rosyjska biurokracja i sfery do niej zbliżone. Im dalej od nich, tym słabsze zainteresowanie, tym większa apatja i martwota.

U nas coraz wyraźniej ujawnia się w sferach do dotychczasowego Koła polskiego zbliżo-

ECHA PRAWDY.

Commoveri videtur. l'abbe Gnatowski.

Fakt gromadnie ze wszystkich stron kraju nadsyłanych do *Prawdy* podpisów protestujących przeciwko naganie na *Zaranie* poczyna coraz widoczniej wyprowadzać kler z pozornej równowagi. Zrazu zahuczał stek ekonomskich wymysłów z *Roli*, aliści za tą gwardją poruszył się sam sztab, przemówił *Przegląd Katolicki*. Dystyngowany organ ulakierowanych labusiów zdał sobie snadź dokładnie sprawę z groźnego dla autorytetu jego podwładnych niebezpieczeństwa, gdyż odłożywszy na bok z taką gracją używanej dotąd broni brunetièrowskich i hellowych szermowań, — zakasał sutannę, plunął w garść, obłapił oburącz kłonicę (li donc!) i z wykrzywioną gminnie od szewskiej pasji twarzą siepie po powietrzu na prawo i na lewo, nie bacząc, iż zatraca swoją stylową tartuffowską linję i kiepsko obliczonym z powodu wściekłości machnięciem łacno sam siebie lub kogo z własnej kompanji przetrącić może. Kłonica tak wytwornego dotąd księdza Gnatowskiego rwie się do bicia w..... nazwiska protestujących. Manjera przypominająca czasy łobuzerji uczniowskiej i to w najniższych klasach.

Ksiądz Gnatowski gniewa się na protestującego, że ten nazywa się nprz. Finfestyk. A czyż który z ludzi podpisujących „zaraniarski" projekt ma pretensje do kleru, że pewien arcybiskup austrjacki zwie się też całkiem po aryjsku: Kon (a napewno ma do tego nie mniejsze racje pochodzenia niż wyżej wspomniany protestujący). Konstatuje pozatym ksiądz szanowny z prawdomównością godną istotnego sługi Lojoli, że liczba podpisów nie przekracza paruset. Papuas miałby w tym arytmetycznym lapsusie swój niski poziom intelligencji na usprawiedliwienie, ale światły, wykształcony ksiądz Gnatowski?.. Doprawdy fe, jak gniew zaślepia! I gniewa się ksiądz, że tak mało podpisów? I że nieznane „po za Kozią Wólką"? Ano niekażdemu pisarzowi prowentowemu sądzono być znanym na cały świat Macochem. I twierdzi z dumą ksiądz Gnatowski, że gdyby „zapowiedziano kontrprotest" z ambony „po jednej tylko ze mszy niedzielnych, w jednym tylko z dwudziestu kilku kościołów, podpisałoby się dziesięć razy tyle nazwisk". A gdyby tak jeszcze à la Texel odpust w godzinę śmierci im za to z tej że ambony solennie obiecać? A jeszcze siaki taki cudzik zaaplikować?

I „czemże" byłby i cóżby pomógł ów kontrprotest wobec *faktu*, że liczba „zaraniarzy" mimo

nych dążność do zatrzymania mandatów w tych samych co dotąd rękach. Realiści i narodowi demokraci przy każdej sposobności usilują dowodzić, że to, co robiono dotąd, zasługuje na pełne uznanie i ani ludzi, ani kierunku zmieniać nie należy. Bądź to opiewają chwałę obecnych naszych mężów politycznych, bądź dowodzą, że październik.wcy są wielce obiecującą grupą parlamentarną i sojuszu z nimi żadną miarą odrzekać się nie trzeba, pośrednio aprobując tradycje Koła, bądź wreszcie z oburzeniem protestują przeciw pojawiającym się w prasie głosom, że należałoby spróbować, czy nie znajdą się i nie wyrobią z czasem nowi ludzie, posiadający więcej zdolności i powołania do roli reprezentantów narodu. Żadnych prób! żadnych prób! to byłoby zbyt lekkomyślne i ryzykowne! — wołają.

Zapominają, że dotychczasowa misja naszych posłów była też tylko próbą i to bardzo niefortunną. Żaden z nich przed powołaniem 3-iej Dumy nie był politykiem, żaden niema świetnej karjery publicznej poza sobą i nie może się powołać na czyny, któreby go bezspornie ogółowi wyborców rekomendowały. Byłoby więc gorzej niż lekkomyślnością i ryzykiem, gdyby wbrew nauce doświadczenia wybierano ludzi, którzy w ciągu 5-ciu lat zawodzili pokładane w nich nadzieje.

Uczucie rozczarowania jest tak powszechne i głębokie, że gdyby się agitacja swobodnie rozwijać mogła, hasłem zdolnym połączyć największą liczbę jednostek i stronnictw, byłoby „Byle nie ci sami!“ hamowane jedynie obawą, że „inni“ mogliby się okazać „tacy sami“. Nie jest to oczywiście wystarczający program wyborczy — ale byłby on niewątpliwie tak popularny, że zachodziłaby obawa, czy to negatywne hasło nie uśpi czujności wyborców i zbyt tanio nie zdobędzie ich poklasku dla niedość wszechstronnie wyegzaminowanych kandydatów. Powinni oni pamiętać, że oprócz tych błędów, które popełniono, jest możliwość wielu innych jeszcze i domagać się bardzo wyraźnego i wyczerpującego wyznania wiary od tych, którym się da prawo przemawiania w imieniu narodu.

PROTEST.

Wszczynanie walk religijnych i wskrzeszanie w XX stuleciu średniowiecznego fanatyzmu potępiamy, jako zbrodniczy zamach na zdrowy rozwój narodu i najcenniejsze zdobycze kultury.

Łączymy przeto nasze głosy w gorącym proteście przeciw nagance duchowieństwa na „Zaranie“, a naszym wyklętym braciom z ludu ślemy wyrazy współczucia, otuchy i solidarności.

10) (Ciąg dalszy podpisów)

Z Lublina: Marjan Szcześniak, Józef Dominko, Władysław Rodak, Adam Rybczyński, Jan Dominko, Aleksander Michalski, Bolesław Marzec, Teodor Słomczyński,

to *stale się zwiększa*. I gniew księdza szanownego nic tu nie pomoże. Historyczny pragmatyzm gniewu *Przeglądu Katolickiego* się nie boi i dąży nieubłaganie swą drogą konsekwencji.

Gdzie Polacy bywają obecni?

Niedawno jedno z pism w artykule: „Zawsze nieobecni“ wyraziło ubolewanie z powodu dobrowolnego usuwania się Polaków z wszechświatowych kuźnic myśli i czynu, jakimi są międzynarodowe zjazdy, konferencje, instytucje i uczelnie.

Żalimy się na to, że nas opinja Europy pomija, jako naród samodzielny, że nas wykreśliła ze swej pamięci, że nie daje wtóru odczuciom naszych krzywd, nie liczy cierni na drogach naszej niedoli. Tymczasem sami nie czynimy nic, aby tej opinji się przypomnieć, aby o swym istnieniu godnie i twórczo zaświadczyć. Na Zjeździe monistów świeciliśmy nieobecnością. Na zjeździe prasy w Rzymie nas nie było. O udział w obradach przedwstępnych Kongresu Narodów nie podjęliśmy starań. Progów Wyższej Szkoły nauk społecznych nie chcemy przekroczyć, pomijając w ten sposób możność przyłączenia się do chóru dążeń autonomicznych rozmaitych narodów Europy dzisiejszej (Szkoła organizuje w sekcji politycznej cykle wykładów na temat „dążenia autonomiczne w Europie“).

Żale te brzmią istotnie jak gorzki rachunek sumienia.

Ale czyżby naprawdę było już tak źle z nami? Czyż nieodwołalnie już wycofaliśmy się jako naród z areny świata?

Oh! nie rozpaczajmy! Osusz łzy, sieroca dolo!

Są jeszcze (chwała Bogu, jak mówi pani Lewental Hortensja) konstelacje na niebie Europy, w których imiona Polaków świetnym goreją blaskiem! Są organizacje, stowarzyszenia i kluby, gdzie Polacy zdawna cieszą się sławą gorliwców, są placówki, na które nigdy nie omieszkają się stawić.

— Jockey-kluby, naprzykład...

— O, nietylko! przerwie *Kurjer Warszawski*: Pan Hoesick niedawno gruntowne studjum na moich łamach poświęcił tinglom i kabaretom wiedeńskim, w których Polacy słyną z brawury. Bezwątpienia nie są to miejsca, gdzie rozstrzygają się prądy ducha, ale... alboż to duch światem rządzi?... Bądźmy raczej praktyczni i trzeźwi, jak każe polityka narodowa! A zresztą, jeżeli koniecznie wyjść trzeba z kabaretu, no, to udać się możemy na „Kongres Eucharystyczny“, choćby prosto od Ronachera. To nas odświeży. Nic

ózef Murawski, St. Pochwiejewski. St. Paszczyk, St. Kubicki, Stefan Mróz, Jan Tarkowski, Ignacy Sosnowski, Kozlowski Jan, Władysław Pawłowski, Feliksa Kozłowska, W Pisarczuk, A. Pawlowski, Władysław Krzyżanowski, W. Smętny, Piotr Ciola, S. Simaglowski, Józef Kozłowski, Bolesław Wójcik, Władysław Szcześniak, Jan Szcześniak, Władysław Kwieciński, Aniela Kwiecińska.

Z Lublina: Franciszek Dziedzic, I. Szalkowski, Z Łęczycka, Paulina Łęczycka, Anna Łęczycka, Kasia Łęczycka, Janina Ryczek, Julja Tomaszewska, Stanisław Tylec, Feliks Stadnicki, Anna Kluk.

Z Lublina: W. Drzewińska, E. Skowroński, I. Krzewiński, I. Jabłoński, Wieczorek, W. Salek, T. Gałecki, J. Chomicka, K. Klepczarz, E, Sawicki, H Jarzembowski, Lubiński, M. Nakonieczna

Z Lublina: Joachim Wójcik, Michalina Wójcikowa,

Z Kijowa: M. Horzalska, K. Kulikowska. Z. Zo-[illegible]

Z Tyflisu: Jadwiga Mancewiczowa, W. Mancewicz, Wojciech Borowski.

Zolnierze-Polacy 3-go Pułku Francuzkiej Artyllerji Kolonialnej w Tulonie: Jerzy Szantyr. Józef Karkling, Henryk Fournier, Jan Gersbach.

Halina Boguslawska, Lucjan Boguslawski, Bogumił Hummel, W. Bogusławska. J. Hummel, P. Karasiński, H. Hummel, M. Pasobolski, Z. Łapińska, K. Czerwiński, Ł. Ładnowski, Feliks Opęchowski, Kazimierz Nakęski, Emil Walknowski.

Małżon. Bialogrodzcy, Zawisza, Wl. Knaczysz, Mozer, W. Przysuszyński, Szerszonowicz, A. Białogrodzki, Rymowicz, D. Kintopht, Eberlein, Zaruska, Güthner, Alfred Duma, Sienkowski, A. Żak, Murczyński, W. Libelt.

Amelja Sierzputowska, Wanda Sierzputowska, Józefa Łaganowska.

Bolesław Chojnacki, Jan Chojnacki, Marja Chojnacka, Władysława Kaczyńska, Grzegorz Krop, Wacław Rodak, Rupniewski, S. Mann. W. Danak, Ignacy Dlutek, Iza Dlutkowa.

Ze Skierniewic: W. Myśliński, J. Zaleski, M. Zakrzewski, W. Szydlowski, Miecz. Binder, J. Myślińska, J. Madziara, J. Sokolowski, A. Siebert, Bronisław Kootke, A. Brodzki, Władysław Skwara. F. Balcerski, L. Pellegrini, K. Lindner, J. Różycka, J. Zacharewiczówna Edw. Kostrowski, K. Kleniewski, J. Jacewicz.

Z Warszawy D-r Budzińska-Tylicka, Stefan Jaracz.

Z Sosnowca: Franciszek Nowiński.

Z Warszawy: Marja Fronczak, Bolesław Fronczak, Bolesława Michalowska, Zofja Szynklerska, Bolesława Iskierko, Antonina Habrowska.

Polskie parcie na wschód w świetle statystyki.

W historjografji naszej niejednokrotnie była poruszana sprawa ekspansji sił narodowo-politycznych dawnej Polski w kierunku wschodnim. Cały szereg dziejopisarzy zastanawiał się nad przyczynami i skutkami tego procesu, który powodował z jednej strony osłabnienie i zaniedbywanie szczerze-polskich etnograficznie kresów zachodnich, z drugiej zaś — asymilację polityczną olbrzymich połaci na wschodzie poza polskim obszarem etnograficznym. Dziejopisarze i publicyści, usiłujący oprzeć wskazania polityki praktycznej na podwalinach faktów historycznych, wykazywali wpływy ujemne i dodatnie tego procesu. Nie brakło też głosów, które zajmowały się dość jałowym pytaniem — coby było, gdyby ten proces był przybrał kierunek odwrotny — ze wschodu ku zachodowi. Nie zwracano jednak dostatecznej uwagi na konieczność, nieuniknioność i żywiołowość tego procesu. Przeceniano zwykle czynniki polityczno-państwowe, zwracające Polskę ku wschodowi, niedoceniano natomiast

tak bowiem nie odświeża po nocy, spędzonej bezsennie, jak wzniesienie wzroku do nieba i jego świętych tajemnic.

— A więc?

— A więc raz jeszcze powtórzmy Chwała Bogu! Naród polski nie upada. Znają go u Ronachera. Znają go Zjazdy Morjańskie. Znają Jockey-kluby. Znają kongresy Eucharystyczne.

Naród czy wyznanie?

Redakcja *Kurjera Warszawskiego*, jak wieść niesie, *in gremio* wybiera się do Wiednia na kongres Eucharystyczny, aby złożyć nowy dowód przywiązania swego do kościoła.

Nie zraża jej to, że komitet urządzający kongres odmawia Polakom prawa uczestniczenia w nim, jako jednolita grupa narodowa, obok niemieckiej, francuskiej, angielskiej i t. d., że zamierza ich podzielić na trzy grupy: Polaków austryjackich, niemieckich i rosyjskich, i że z tego powodu powstał zatarg między komitetem a biskupem Krakowskim, panem Sapiehą.

— To nieprawda! To insynuacja! — woła zaperzony *Kurjer*.

— Co? Ze komitet odmówił Polakom miana narodu?..

— Ah! nie... prostuje *Kurjer Warszawski*. — Nieprawdą jest to, jakoby biskup krakowski protestował. Ale właśnie dlatego postanowiliśmy jechać na kongres, aby pokazać, że dbamy o istotę rzeczy, nie zaś o pustą nazwę. Nie chciano nas uznać za naród? — Jedźmy jako wyznanie. Pod jakąkolwiek nazwą, Lewental pozostaje zawsze Lewentalem, Rabski — Rabskim, Hoesik— Hoesickiem...

Może to i słuszne — — W każdym razie— szczere...

Nasi w Paryżu.

O polskich sprawach politycznych informuje Francję aż dwóch naszych prywatnych dyplomatów. Stanisław hr. (!) Skarzyński i pan de Żwan. Obaj oni pisują cztery razy do roku w piśmie głównie przeznaczonym dla kokot, kawiarnianych anegdociarzy i kelnerów, w „Gil Blas'ie". Ich głos nie dochodzi nawet do kamerdynera francuskiego ministra spraw zagranicznych, więc zarówno p. Skarzyński, jak de Żwan, nie są dla matki-ojczyzny niebezpieczni.

O literaturze polskiej informuje Francję oprócz jednego naprawdę poważnego literata, p. Wyżewskiego (de Wyzewa), legion drobiazgu umy-

zjawisk charakteru ekonomiczno-ludnościowego, odgrywających w tym procesie rolę pierwszorzędną.

Podboje, inkorporacje i unje, stosowane przez politykę Państwa Polskiego na wschodzie, wypływały z naturalnej dążności żywiołu polskiego do zapewnienia sobie bytu i rozwoju na mniej zaludnionych obszarach ziemi. Te ostatnie znajdowały się właśnie na Rusi i Litwie, gdy przeciwnie, na kresach zachodnich żywioł polski, jakkolwiek siedzący w zwartej masie, doświadczał na sobie analogicznego parcia żywiołu niemieckiego, dla którego znów kresy polskie były najodpowiedniejszym terenem kolonizacji. I upadek niepodległego Państwa Polskiego procesu tego nie przerwał, jakkolwiek znikł czynnik, mogący go regulować świadomie i celowo. Żywiołowe parcie ludności polskiej ku wschodowi, trwające od szeregu wieków, nie ustało, choć z biegiem czasu spotkało się na swej drodze z przeszkodami zupełnie wyjątkowemi.

Pomimo utrudnień natury polityczno-prawnej dopływ żywiołu polskiego na obszary Litwy i Rusi istniał (choć w rozmiarach zmniejszonych) w dalszym ciągu. Nied dość na tym, właśnie już po upadku państwowości Rzeczypospolitej daje się stwierdzić pewien wzrost terytorjalny polskiego obszaru językowego na kresach wschodnich od Suwalszczyzny na północy, gdzie polonizacji uległa część katolickiej ludności białoruskiej, wzdłuż wschodnich granic ziemi Siedleckiej i Lubelskiej poprzez środkową Galicję aż na Spiż, gdzie żywioł polski pochłonął sporą część kolonizacji niemieckiej. Nadto wyspy polskie na pograniczu litewsko-białoruskim — w powiatach święciańskim, wileńskim, trockim i lidzkim, — oraz w Galicji Wschodniej ujawniły w tym okresie czasu dość wybitną tendencję w kierunku rozszerzania się. [1])

[1]) Kwestję tę omawiam szerzej w dziele „Litwa i Białoruś", znajdującem się pod prasą.

Ten charakterystyczny proces ludnościowy rozwijał się zupełnie normalnie tylko na jednym skrawku dawnej Rzeczypospolitej, mianowicie w środkowej i wschodniej Galicji. Tam nie istniały żadne normy prawne, ograniczenia i zakazy, krępujące parcie żywiołu polskiego ku wschodowi. Tam też możemy stwierdzić rozwijanie się tego procesu w całej pełni, zwłaszcza że rozporządzamy potrzebnemi cyframi, ilustrującemi go z możliwą ścisłością. Cyfr tych dostarczają nam przeprowadzane co lat 10 spisy ludności. Właśnie świeżo ukazał się zeszyt I tomu XXIV-ego „Wiadomości statystycznych o stosunkach krajowych", wydawanych przez galicyjskie biuro statystyczne zawierający „najważniejsze wyniki spisu ludności i spisu zwierząt domowych", dokonanego w dniu 31-go grudnia 1910 r. Zawiera on, tak samo jak i sprawozdanie ze spisów poprzednich, bardzo ciekawe dane, dotyczące kwestji, która nas w tej chwili obchodzi.

Od roku 1900-ego t. j. w ostatniem dziesięcioleciu — ludność całej Galicji wzrosła o 713,448 osób czyli o 9,8 o proc. Otóż główna część tego przyrostu przypada na wschodnią połać kraju, posiadającą ludność mieszaną pod względem narodowościowym. Gdy bowiem udział Galicji zachodniej w całym przybytku wynosi 191 442 osób (7,7 proc.), Galicja wschodnia wykazuje wzrost o 522. 006 osób (10. 8 proc.) I każdy spis stwierdza takąż samą przewagę wschodniej częśei kraju nad wschodnią, jak wskazuje poniższe zestawienie.

Rok spisu	Ludność Galicji zachod.	wschod.	Przyr. % Galicji zachod.	wschod.
1880	2,113,013	3,845,894		
1890	2,299,665	4,309,151	8,8	12,0
1900	2,501,768	4,814,171	8,8	11,7
1910	2,693 210	5,336,177	7,7	10,8

Obecnie już przeszło dwie trzecie ludności kraju mieszkają w Galicji wschodniej, choć emigracja tu wzmaga się coraz bardziej i np. w okresie lat 1900-1910 doszło do cyfry 254. 000 dusz. Po-

słowego i mału talentowego. W przedostatnim np. tygodniowym dodatku literackim „*Figara*", p. hr. Rzewuski wydrukował artykuł o Bolesławie Prusie. Zaczyna się ten artykuł od słów: „Literatura *słowiańska* poniosła niepowetowaną stratę"... Należało powiedzieć poprostu „literatura *polska*", aby raz nareszcie ustały pytania nawet wysoko postawionych francuzów: „Czy polacy mają swój język"? Dalej dowiadujemy się z tego artykułu, że „w autorze „Faraona" niema śladu tego bolesnego poszukiwania, dbałości (préoccupation) o sprawiedliwość społeczną, tego żarliwego szukania nowego ideału"... etc.

I jeszcze czytamy: „Sławne kroniki Prusa, niegdyś tak głośne, i które mu zjednały przedwczesną opinję Paul-Louis-Courier'a, albo I. I. Weiss'a polskiego, wydają się dzisiej okrutnie przestarzałemi; utalentowani pisarze, którzy zajeli jego miejsce w tym samym *Kurjerze Warszawskim*, gdzie się narodziła niegdyś jego młoda sława: pp. Rabski, krytyk pierwszorzędny, Dębicki, Kotarbiński, Jankowski, Ludwik Straszewicz, Dobrowolski i inni jeszcze, wydają nam się znacznie go przewyższającymi (*très supérieurs*); rodzaj dziennikarski który sobie przyswoili, jest bardziej ożywiony, bardziej literacki, bardziej europejski, niż ten, który kwitnął za czasów Prusa".

Pan Rabski pisze lepsze fejletony, niżeli Prus!

Od pana Kotarbińskiego i Dobrowolskiego Prus mógłby się uczyć pisać!

A wydrukowało się te ośmieszające pochwały na tydzień przed premierą „Naszych na Riwierze" w wyrachowanej do nieomylności nadziei, że panowie Dobrowolscy i Straszewicze wydrukują w swoich opinio twórczych organach: „komedye hr. Fredry, ojca wydają się dzisiaj okrutnie przestarzałemi w obliczu o wiele je przewyższających (*très supérieurs*) komedji hr. Rzewuskiego, wnuka".

Meandry.

31.

Żniwa Chwieje się cień topoli
Nad głową mą — w południe senne.
Jakieś myśli bezimienne
Utkane z słońc aureoli
Dzwonią o doli-niedoli..
Cyt! Myśli dzwonią? czy też kłosy pszenne?

32.

Już to nie dla nas, Lachów, są cnoty Hijoba.
Ongi szlachcic, gdy spostrzegł, orząc na zagonie,
Że wieś łupi Tatarzyn, zali łamał dłonie?
Zali jak Hijob jęczał: „Gdzie moja chudoba!"
Nie! miast korzyć się w klęsce, klął. „Niech cię choroba"!
Piorunem chwytał oręż, i — w konie! i w konie!

mimo szybkiego wzrostu ludności wschodniej połaci kraju, gęstość jej zaludnienia jest wciąż jeszcze niższa aniżeli w Galicji zachodniej, gdy bowiem w tej ostatniej przypada obecnie na 1 km² 116 mieszkańców, w Galicji wschodniej jest ich 96 czyli o 20 mniej. Stąd wniosek, że przesuwanie się ludności Galicji może się odbywać tylko z zachodu na wschód, nie zaś w kierunku odwrotnym.

Jakże się odbija ten rozwój ludności Galicji na jej stosunkach wyznaniowych i językowych?

Pod względem wyznaniowym ludność Galicji dzieli się na trzy wielkie grupy: rzymsko katolicką, unicką i żydowską. Inne grupy poważniejszej roli nie odgrywają. Siłę liczebną i stosunek wzajemny wszystkich bez wyjątku grup wyznaniowych w r. 1910 uwidacznia następujące zestawienie:

Obrządki i wyznania	Ludność ogółem	Ludność procentowo
rzymsko-katolicki	3,735,145	46,52
[illegible]	3,378,451	42,08
ormiańsko-katolicki	1,392	0,03
prawosławne	2.816	0,04
ewangielickie	37,192	0,46
izraelickie	872,975	10,87
inne wyznania	998	0,00
bezwyznaniowi	318	0,00
Razem	8,029,387	100,00

Pod względem wyznaniowym Galicja jest bardzo niejednolita. W zachodniej części rzymscy katolicy posiadają przewagę olbrzymią, stanowiąc 88,5 proc. ogółu ludności wobec 7,9 proc. żydów i 33 proc. unitów. Natomiast Galicja wschodnia ma ludność bardzo mieszaną wyznaniowo. Unici tu wprawdzie przeważają, ale nie tak znacznie jak rzymscy katolicy w Galicji zachodniej. Stanowią oni bowiem 61,7 proc ogółu mieszkańców wobec 25,3 proc. rzymskich katolików, 12,4 proc. żydów, i 0,6 proc. osób innych wyznań. We wschodniej Galicji mieszka 36,2 proc. rzymskich katolików całego kraju — 1,350,856.

Rzymscy katolicy znajdują się — przeważnie rozproszeni — na całym obszarze Galicji wschodniej. Przytym ludność rzymsko-katolicka występuje tam w rozmaitym ustosunkowaniu procentowym. Większość posiada w dwóch powiatach pogranicznych — brzozowskim (78,3 proc.) i jarosławskim (50,9 proc.) oraz w mieście Lwowie (51,2 proc.), w reszcie powiatów reprezentuje mniejszość. Ta ostatnia jest niekiedy bardzo poważna. W 6-ciu powiatach przenosi 33,3 proc. ogółu ludności, w 12-tu stanowi 25—33,3 proc., w 26-ciu — 10—25 proc. i tylko w 5-ciu powiatach spada niżej 10 proc..

Nie tylko rzymscy katolicy, ale i reprezentanci innych wyznań — pomijając już unitów — tworzą w Galicji wschodniej poważne skupienia. Tak np. z ogólnej liczby żydów na Galicję zachodnią przypada 213,269, na wschodnią aż 659,706. Ich udział procentowy wśród ludności wzrasta w kierunku z zachodu na wschód. W Galicji zachodniej mamy dwa powiaty (żywiecki i krakowski podmiejski), w których procent żydów wynosi mniej niż 2, i sześć, w których waha się między 2 a 5. W Galicji wschodniej niema ani jednego powiatu o tak niskim procencie żydów. Przeważają tam powiaty o 10—15 proc. żydów — w liczbie 30, gdy w Galicji zachodniej takich powiatów jest zaledwie 4.

Tak samo i ewangelicy rozsiedleni są przeważnie w Galicji wschodniej, gdzie jest ich 29,267 wobec 8,025, przypadających na Galicję zachodnią.

Jeśli zastanowimy się nieco nad zmianami zachodzącymi w składzie wyznaniowym ludności Galicji wschodniej od spisu do spisu, to rzuci się nam w oczy pewne bardzo charakterystyczne zjawisko. Oto od r. 1869 cyfra procentowa ludności rzymsko-katolickiej stale wzrasta przy jednoczesnym ciągłym obniżaniu się procentu ludności unickiej. W r. 1869-ym katolicy obrządku łacińskiego stanowili wśród mieszkańców Galicji wschodniej 21,84 proc., zaś w r. 1910-ym już przeszło jedną czwartą ludności, czyli 25,31 proc.. Widzimy więc, że w ciągu 41 lat udział procentowy rzymskich katolików wzmógł się o 3,47, z czego na ostatnie dziesięciolecie przypada 1,80. W tym samym czasie udział unitów cofnął się z 64,86 proc. do 61,68 proc. czyli 3,18, z czego na ostatnie dziesięciolecie przypada 1,11 proc..

Przyrost ludności rzymsko-katolickiej w Galicji wschodniej wykazuje tempo coraz bardziej przyspieszone. Od roku 1880-go do 1890-go wzrosła ona w powiatach wschodnich o 14,4 proc., w następnym dziesięcioleciu o 15,9 proc., wreszcie między r. 1900-ym a 1910-ym o 19,4 proc. Ta ostatnia cyfra uderzy nas tem bardziej, że przyrost tychże rzymskich katolików w Galicji zachodniej w l. l. 1900—1910 wynosi zaledwie 7,7 proc. Obie te cyfry oznaczają, że w liczbach absolutnych Galicji wschodniej przybyło w tym czasie,

---

33

Noc. Księżyc jasny, jako twarz be[illegible]
Brzozy szumią tak lekko, tak lekk[illegible]
Zda się, że czyjeś dalcko
Westchnienie rwie się w półjęku...
W taką noc słodko jest oprzeć na [illegible]
Głowę, na gwiazdach — wzrok, i [illegible] pod gwiazd opieką.

34

„Za błękitami był bój"... O, legendo!
Orły walczyły w górze, a ich pióra krwawe
Spadały, jak siew męki pod Wielkość i Sławę.
Jedno z piór, idąc raz kapusty grzędą,
Znalazła panna Dulska. Chwyta je jak wędą:
— „Niezłe do kapelusza, rzekła, choć jaskrawe!"

35.

Rano wstawszy, dzieci poi
Paciorkiem, a potym — mlekiem.
Kościół — kuchnia. Człek jest człeklem.
Męża łaje, praczkę łoi.
Ot, wzór jakiej cnót o[illegible]
Słynie w Polsce, jak w[illegible]

[illegible]

Co słychać w Polsce? — Dzwony biją...
Co słychać w Polsce? — Biją dzwony...
Co słychać w Polsce? — Rozmodlony
Lud ryczy: „Jezu! Maryjo!"
Co słychać w Polsce? — Zmarli gniją,
A kto żyw jeszcze, odcina kupony.

aż 219,526 rzymskich katolików, Galicji zachodniej zaś tylko 169,839, chociaż ludność rzymsko-katolicka Galicji zachodniej w r. 1900-ym wynosiła blizko dwa razy tyle co wschodniej.

(C. d. n.) *Leon Wasilewski.*

Z mojego pobytu w Paranie

(Ciąg dalszy).

Wchodzę do apteki po benzynę, bajacznie tu drogą. Aptekarz po wydaniu lekarstwa koloniście ma wątpliwości, gdyż ani on po polsku, ani pacjent po portugalsku nie mówią ani słowa. Służę im tedy za pośrednika. Okazuję się, że aptekarz zupełnie inaczej chorego zrozumiał, więc i lekarstwo trzeba było odmienić. Udało się tym razem koloniście otrzymałby niezawodnie skuteczny środek.

Na kolonji jest i lekarz bardzo dobrze płatny. Ten konsultacje załatwia przez posługacza. Nawet w razie najcięższego wypadku na kolonję nie pojedzie. Zbyt szacuje swe cenne kości, ażeby je poniewierać jazdą konną po nieprzetartych drogach.

Jest i szkoła rządowa. Pan „profesor", dawno przybyły z Polski młodzieniec. pomimo zachwalonego patrjotyzmu polskiego, w rozmowie z rodzeństwem posługuje się językiem portugalskim. Z dziećmi w szkole porozumiewa również po portugalsku, gdyż użycie polskiego zostało mu wzbronione przez władze naukowe.

Na kolonji wybucha rewolucyjka. *Wendziarz*, u którego kazano brać kolonistom prowiant zbył dał się im we znaki. Nie posiada niezbędnych rzeczy, częstując natomiast zgniłym *fiżonem* (czarna fasola — wyłączne pożywienie Brazyljan).

Więc idą wielką gromadą na skargę do p. dyrektora. Lecz po drodze słyszą strzały i wkrótce otacza ich cała gromada uzbrojonych od stóp do głów „kapangów" (*capango* — nazwa najemnych zbirów, wyłącznie trudniących się tym rzemiosłem). To p. dyrektor tłumi „bunt" w zarodku.

Na wyjezdnym dostojnicy ci uraczyli się hojnie w wendach więc po obfitych libacjach sprawa idzie nie tyle gładko, co szybko, i wkrótce „główni winowajcy" powlekli się pod eskortą do „kadei" (wzorowe więzienie brazylijskie).

Resztę zaś rozpędzono na cztery wiatry. Po tak pomyślnym załatwieniu sprawy na czele orszaku staje sam p. *wendziarz* i wspólnie wyłapują niemile temu panu jednostki „za namawianie do buntu". Ci powędrują już w świat, bo na kolonji nie mogą być tolerowane niespokojne żywioły. Doświadczą tedy na sobie, jak wygląda prawo i wolność w Brazylji.

— Niedawno jeszcze u siebie zdychali jak psy z głodu, a już ośmielają się nam sprzeciwiać i buntować — słusznie oburzają się Brazyljanie.

Dawniej do Brazylji przywożono niewolników, których, oprócz nieludzkiego traktowania, obdarzono również pogardą. Obecnie stosunki się zmieniły niema już niewolników Lecz są emigranci przeważnie Polacy, więc część tych dawniejszych uczuć względem niewolników przelano obecnie na ich następców — Polaków.

Wybieram się na zwiedzenie kolonji polskich dawnych i świeżo powstałych. Rozpoczynam od kolonji Rio Claro, istniejącej już lat kilkanaście. Zastaję tam umysły poruszone wyborami niedawno dokonanymi na nowego prezydenta Respubliki. Koloniści chcieli głosować na niemiłą rządowi jednostkę.

W dzień wyborów na kolonji zjawiło się kilku „kapangów" posłanych przez wpływową osobę i, pomimo, iż kolonistów było setek parę przeważnie uzbrojonych, nie dopuszczono do wyborów. Dano tedy nowo upieczonym „obywatelem brazylijskim" poglądową lekcję, jak należy w Brazylji rozumieć prawa i swobody obywatelskie.

W Rio Claro jest okazale prezentujący się kościół Obserwowałem przybywających na sumę kolonistów. Starsi często, a młodzież płci męskiej prawie wyłącznie, posługują się w rozmowie portugalskim. A jest to kolonja czysto polska, nie mająca żadnej styczności z Brazyljanami.

Na tej kolonji, jak również i we wszystkich innych filarami polskości są wszechpotężni w Paranie „wendziarze". Prawie bez wyjątku są patrjotami, postępowcami i antyklerykałami. Dziwnie jednakże tak szczytne przekonania kojarzą się z wyszynkiem sprzedawanej wódki, na którym przecie interes się opiera.

W dalszej drodze oglądam część ziemi przeznaczonej na nową kolonję —*Cruz Machado*. Licha gleba, nadzwyczaj górzysty teren i niemożliwe warunki komunikacyjne świadczą dobitnie, jak mało tu dbają o dobrobyt osadników Dowiaduję się, że nową kolonję mają obsadzić samymi wychodźcami z Królestwa. Nie dawałem wówczas wiary temu, bo nie przypuszczałem nigdy, że działalność, ks. Anusza, Pankiewicza i S-ki przy poparciu pewnej części obałamuconej prasy warszawskiej tak świetne wyda rezultaty.

Na kolonji *Rovoroiz* zastaję polsko-brazylijską idyllę. Osiadło tak kilkanaście rodzin uciekinierów z Rio Claro, pokupowali grunty i zagospodarowali się. Nagle zjawiają się jacyś Brazyljanie i żądają usunięcia się, roszcząc jakieś pretensje do posiadania tych kawałków. Nowonabywcy nie usłuchali i wszczęła się walka. Ciągle się słyszy: ten tego zabił, tamten znów obił, innemu wystrzelano bydło, zniszczono zasiewy i t. p. miłe rzeczy

W drodze na kolonję *Iraty* spotkani Brazyljanie wypytują się skwapliwie:

— *Senhor nãoe Hollandez?*

Rozumiem ich dobrze, bo kolonję *Iraty* obsadzono pierwotnie samymi Holendrami. Lecz niewdzięcznicy ci, rozejrzawszy się dokładnie wśród tak odmiennych, od bytowania w kraju, warunków, gromadnie się wynieśli. Więc na mój widok radowało się serce brazylijskie, że ujrzało choć jednego, według ich mniemania, *Hollandeza*. Pocieszam ich jak mogę.

— Nie bójcie się, wkrótce przywiozą tu Polaków, a ci już wam nie uciekną.

W dalszej podróży przechodzę przez miasteczko *Coupim*. Pamiętne ono z racji następującego zdarzenia: Niedawno jedno z naszych zasobnych towarzystw wysłało delegata na zwiedzenie kolonji polskich w Paranie. Pan ten, po długim i usilnym bankietowaniu w Kurytybie, wybrał się wreszcie na kolonję *Irahy*, w otoczeniu całego sztabu Brazyljan. Po drodze świta tak przekonywująco wystawiała p. delegatowi trudności dalszej podróży, iż z *Coupim* cofnął się,

ażeby dalszym bankietowaniem zakończyć sumienie swą misję.

Na kolonji *Ivahy* poznałem kilka wybitnych osobistości: całą rodzinę inteligentów polskich, pracującą na ziemi, jak zwykli koloniści. Pracują już lat parę i w rezultacie—zasiewy stają się coraz mniejsze, z inwentarza coraz coś ubywa.

— Wrócilibyśmy do kraju, gdyby tak było ....

Na *Ivahy* pokazano mi odczyt, wygłoszony w Krakowie o flocie polskiej. Dowiedziałem się z niego, iż obecnie bliżsi jesteśmy posiadania floty, niż za czasów potęgi Rzeczypospolitej.

— Mamy już kolonje zamorskie; potrzeba więc tylko tyle, a tyle miljonów i basta. Jeśli Francuzi, Niemcy, Anglicy mogą wydawać na ten cel miljardy, to i my przecie...

Poznałem wreszcie pewnego niemca—osadnika. Zamiłowany rolnik tak świetnie prowadził gospodarstwo, iż z Inspekcji Zaludnienia Kraju dano mu jakiś medal, czy nagrodę.

Biedaczysko! po kilkoletniej krwawej pracy wynosił się właśnie z kolonji, klnąc na czym świat s'oi tę ziemię obiecaną, która go wyżywić nie była w stanie.

— Ja nie taki głupi, jak nie Polak, żebym daremnie miał pracować, -- żali się przedemną.

Wiedzą o tym dobrze Brazyljanie, że tu ziemia nic nie da, więc wolą w swych budach głodem przymierać.

(D. n.) *Tadeusz Chrostowski.*

Moda.

Szkic społeczno-polityczny.

(Ciąg dalszy).

III. Moda w Polsce.

Polska w walce o zachowanie różnic stanowych w dziedzinie stroju, nie tylko nie pozostała w tyle, ale poszła nawet dalej, niż kraje zachodnie. Wszechwładza szlachty nie napotykała przeciwwagi ani ze strony króla, ani ze strony mieszczaństwa. To też, gdy ostatnie zaczęło dochodzić do bogactw i otaczać się przepychem, grożąc zatarciem się różnic zewnętrznych pomiędzy stanami, podniosły się głosy satyryków i publicystów przeciwko zamachom na hierarchię społeczną, niemal na religię.

Jan Podworzecki w swym „Sionie pochylonym" (Kraków 1587) mówił, że „stany takowe zaczęły się zrazu jeszcze ondzie w Raju, kiedy Pan Bóg Jadama nad wszystko swe stworzenie przełożył", a X. Piotr Skarga w swem trzeciem kazaniu sejmowem, uzasadniając nierówność stanów, powołuje się na list Sw. Pawła do Koryntów.

I dziwić się nie można, że pisarze XVI, a szczególniej XVII wieku, wychowani w tradycjach szlacheckich, nosili głęboko w duszy ideał nierówności społecznej; ustrój kraju, i dobrobyt najbliższego otoczenia przekonywały ich o prawowitości przewagi szlacheckiej.

Druga połowa XV wieku rozpoczyna już okres chwiania się dotychczasowej równowagi stanów. Już w końcu tego stulecia silnie się to zaznacza, za ostatnich Jagiellonów często jaskrawo nawet, aż wreszcie od bezkrólewia po Zygmuncie Auguście przechyla się szala zwycięstwa na niekorzyść stanów niższych, rozpoczyna właściwa epoka supremacji szlachty, a brak sił po stronie tych warstw, które były zagrożone w swoich prawach dopomógł jej do osiągnięcia zupełnej przewagi.

Pod koniec XVI wieku ustalił się ostatecznie ustrój Polski, określony mianem Rzeczypospolitej szlacheckiej i bez zmian zasadniczych przetrwał półtora przeszło stulecia. Szlachta, podporządkowawszy sobie instytucje państwowe i nieograniczoną niemal zdobywszy władzę, wyzyskała ją dla uciemiężenia niższych stanów we własnym interesie i dla własnej korzyści. Stan mieszczański poniżono i ograniczono w prowadzeniu rzemiosł i handlu (zakaz nabywania dóbr ziemskich przez mieszczan, taksy na towary, ustalane przez wojewodów, zwolnienie szlachty od opłaty cła, zakaz szlachcie oddawania się zajęciom mieszczańskim pod grozą utraty szlachectwa i t. p.); chłopów ostatecznie przytwierdzono do gleby i oddano zupełnie samowoli i sumieniu dziedziców. [1])

Równocześnie z utrwalaniem się Rzeczypospolitej szlacheckiej wzrasta też żądza użycia i zbytek w jedzeniu, piciu ubraniu, i t. d., na co zresztą skarżył się już Długosz. Do wzrostu tego przyczyniają się czynniki ekonomiczne (napływ złota z Ameryki do Europy) i historyczne (ściślejsze stosunki z Zachodem). Stosunki wewnętrzne nie zdążyły jeszcze wpływu swego wykazać.

„Choć jednak i handel. i przemysł, mówi Kutrzeba, już były podkopane, to przecież w tym okresie jeszcze tego nie odczuwają, nie rozumieją niebezpieczeństwa. Wzrost ogólny zamożności, rozkwit kraju sprawia, że straty już poniesione są kompensowane przez żywszy ruch handlowy. Skutki niekorzystne wystąpią dopiero w okresie następnym. Nie odczuwają też miasta jeszcze silniej ograniczeń prawnych". [2])

To też musielibyśmy wymienić wszystkich autorów polskich XVI i XVII stuleci, gdybyśmy chcieli przypomnieć te gromy, które rzucali oni na zbytki czy to szlacheckie, czy mieszczańskie.

Wszyscy prawie pisarze XVI wieku: Rej, Bielski, Modrzewski, Kochanowski, Klonowicz, Górnicki piętnują zbytek i swawolę, a w następnych stuleciach niemasz już pisarza, któryby „naprawy Rzeczypospolitej" nie widział przedewszystkiem w ukróceniu nadużyć obyczajowych warstwy przodującej, a po części i mieszczaństwa.

Ale nie o zbytek nam tu chodzi, ale raczej o tę walkę stanów i stopni w hierarchji społecznej, która nadaje też kierunek strojowi, jako zewnętrznej oznace przynależności do tego lub owego stanu lub stopnia.

O strój toczyła walkę szlachta cała z panoszącem się mieszczaństwem, a w łonie szlachty i mieszczaństwa wyższe ich poklady z niższymi.

Już w XV stuleciu, około 1460 r., Jan Ostroróg w złożonym Kazimierzowi Jagiellończykowi memorjale dla naprawy Rzeczypospolitej [3]) rozdział jego jeden poświęca ubiorom stanów.

[1]) Por. Stanisław Kutrzeba. Historja ustroju Polski w zarysie. Wydanie drugie. Kraków 1908. str. 80 i nast. Prof. Oswald Balzer. Historja ustroju Polski. Kraków 1905. str. 22 i nast. Wł. Grabieński. Dzieje narodu polskiego. Wydanie drugie. Kraków 1908. str. 133 i nast.

[2]) Kutrzeba l. c. str. 97.

[3]) Monumentum pro comitiis generalibus regni sub rege Casimiro pro reipublicae ordinatione congestum.

„Ponieważ, mówi on, ten jest zacniejszym, kto prawa swe zachowuje, zatem potrzeba, aby i w ubiorze była zachowana pewna różnica. Szlachta i ich żony niech się stroją podług swego upodobania. Pomiędzy mieszczanami ubiór powinien być różny, inny mieszczanina w urzędzie zasiadającego, inny prywatnego. Duchowni niech się trzymają sukni owemu stanowi właściwej dla rozróżnienia duchownych od świeckich osób. Między żydami i chrześcianami także niema różnicy w ubiorze, nierządnice nie różnią się niczem od żon prawych, ani kat od innych ludzi. Wypada więc, aby żydzi nosili krążek czerwony przyszyty na sukni, aby nierządnice odróżniały się wstęgami i strojem głowy, a kat z mieczem, woźny z kijem niech zawsze chodzą".

W żądaniach Ostroroga nie ma jeszcze tego ostrego i stanowczego odróżnienia stanów, które spotkamy później; chodzi mu raczej o wyróżnienie, za pomocą oznak zewnętrznych pewnych zawodów, szczególniej pogardzanych; oraz żydów od chrześcijan; niema jeszcze mowy o tem, a przynajmniej Ostroróg nie kładzie jeszcze nacisku na konieczność zakazu mieszczanom używania pewnych materyi czy oznak.

Nie spotkamy się z takiem żądaniem ostro i stanowczo postawionem i u pisarzy XVI wieku.

Dopiero wiek XVII, znamienny najwyższym rozkwitem potęgi szlacheckiej, przynosi nam już wyraźne i gwałtowne domagania się ograniczenia w stroju mieszczaństwa.

W Polsce stało się to trochę później, niż na Zachodzie, warunki bowiem konieczne do współzawodnictwa stanów w dziedzinie stroju i sposobu życia, o których mówiliśmy poprzednio, nadeszły później, niż w krajach przodujących Europy. Nie można przytem nie zaznaczyć, jak walka o przywilej stroju wszczyna się zaraz po zwycięztwie w walce o inne przywileje szlacheckie, przepełniającej XVI i XVII stulecia.

Publicystyka polityczna i satyra nie pomijają żadnej okazji, aby nie przypomnieć o konieczności odgrodzenia stanów, szczególniej stanu szlacheckiego, od stanów niższych, podlejszych.

Na początku XVII wieku skarży się Andrzej Wolan, sekretarz Króla J. M.: „Żadnego już dziś i z podlego stanu ludzi snać nie obaczysz, któryby się wszystek w jedwabnej szacie od kamieni i złota z wierzchu nie świecił... A izby postronne i cudzoziemskie naczynia zbytku z dalekich krain były przyprowadzone, nietylko wielką sumę złota i srebra na to wydawają, ale też z niejakim sporem i przodkowaniem, jeden przed drugim, cokolwiek zboża i żyta porżną za morze wyprowadzają... jeżeli tylko chcemy zachować całą Rzeczpospolitą, koniecznie prawa postanowić musimy ku zahamowaniu chciwości ludzkiej, która się tak potężnie na wszelaki zbytek rozpuściła. [4])

Tego samego domaga się i Szymon Starowolski, opisując „przedniejsze cnoty" prawego rycerza. [5])

Należy wprowadzić prawa przeciw zbytkom, jak w Wenecji „co, gdyby u nas było, zacność stanu rycerskiego daleko by była w większej wadze, niżeli teraz, kiedy nie możemy rozeznać w rysach organisty od senatora, ani w bławacie rzemieślnika od szlachcica".

Piotr Zbylitowski w ofiarowaniu swej satyry [6]) p. Zofji z Fulsztyna Czarkowskiej, tak usprawiedliwia swą przyganę:

> wiem o tem pewnie,
> Że ty zbytków nie chwalisz, jako i ja równie,
> Przeto łacno osądzisz, komu się to gani,
> Komu kosztowny ubiór, a komu zaś tani.
> Nie daję ja przygany, komu się co godzi,
> Że się on według stanu stroi, albo chodzi..
> O tym rzecz, aby wszystkie stany w swojej mierze
> Zostały, jako w życiu, także i w ubierze.

Poglądy publicystów i satyryków znalazły wyraz w prawodawstwie, które od początku XVII prawie do końca XVIII wieku zapobiegało obrażaniu różnic stanowych przez stroje mieszczan za pomocą konstytucji sejmowych. Było ich w ciągu tego okresu sześć, a mianowicie w 1613, 1620, 1655, 1659, 1683 i 1764. Konstytucje te, mówi Kutrzeba, „to wyraz pogardy dla tego stanu, któremu ze względu na jego niższość, odmawiają nawet prawa do wspanialszego stroju. [7])

Ale nie tylko pogardy. Pogarda ta była tylko wyrazem położenia politycznego stanów niższych, położenia tak upośledzonego, że jeden z najszlachetniejszych i najżyczliwiej usposobionych dla *plebsu* pisarzów, w połowie XVIII stulecia, uważał ich za wspomnienia niegodnych *inter materias status*, ponieważ *non componunt* w Rzpltej naszej żadnego stanu, ani wchodzą w żadne rady, oprócz miast pruskich, tak jako w inszych państwach wolno się rządzących [8]) Kutrzeba wzmiankowane konstytucje nazywa *leges sumptuariae* (prawa przeciwko zbytkom). Słusznie jednakże Władysław Łoziński mówi, że Polska nie znała praw tego rodzaju; w miastach tylko uchwalano wilkierze przeciwko zbytkowi. Raz tylko, a to w 1590 r., kiedy w oczach szlachty stanęło bardzo groźne niebezpieczeństwo „nawałnicy tureckiej", myślano o ukróceniu zbytków. Rozprawiano o tem, pisze Bielski „aby zbytek wszelki z Polski wygnać, jedwabie wywołać, w prostem suknie chodzić; safian precz, bryze precz, białogłowskie stroje precz — wszystko to tylko była mowa, do skutku nic nie przyszło. [9])

Prawa uchwalone w 17 stuleciu na sejmach, to nie były prawa przeciwko zbytkowi wogóle, ale prawa stanowe, mające na celu obronę przywileju szlachty do zewnętrznych oznak jej godności.

Oto tekst pierwszego prawa, ograniczającego mieszczaństwo z 1613 r. „Widząc w tem, bądź wielką szkodą Rzpltej i chcąc stan szlachecki w tem mieć różny *a plebeis* postanawiamy, aby żaden mieszczanin, ani *plebejus*, *excepto Magistratu* nie śmiał używać szat jedwabnych, y podszewek, także futer kosztownych, okrom lisich i inszych podlejszych, także w safianie, aby żaden z tych nie chodził *sub poena 14 Marcarum ad cujusvis instigationem, y tych rzeczy delatorowi przysądzeniu*".

---

[4]) O wolności Rzeczpospolitej albo szlacheckiej, książka godna ku czytaniu. Przedtym od niemałego czasu od pana Andrzeja Wolana, sekretarza króla J. M. pisana A dopiero nowo z łacińskiego języka na polski przełożona od Stanisława Dabingowicza (1606).

[5]) Prawy rycerz (1648).

[6]) Przygana wymyślnym strojom białogłowskim przez Piotra Zbylitowskiego (1600 roku), wydał Karol Badecki. Lwów, 1910.

[7]) Kutrzeba l. c. 166.

[8]) Głos wolny wolność ubezpieczający przez Stanisława Leszczyńskiego, króla polskiego l. c. (1749).

[9]) W. Łoziński. Życie polskie w dawnych wiekach. Wydanie drugie Lwów. 1908, str. 101.

Ostatnie zaś prawo tego rodzaju, z 1764 r. głosi: „Postanawiamy, aby żadna osoba stanu miejskiego karet za granicą robionych, złota, srebra, pereł, klejnotów, ani koronek do stroju swego nie zażywała, ani drogich futer: to jest marmurków y sobolów, tudzież, żeby miasta y mieszczanie (wyjąwszy miast większych Magistraty) szabel i szpad, *excepto* podróży, u boku swego nosić nie ważyli się, y więcej nad jednego lokaja nie trzymali, prawo to przestępująca osoba, przez instygatora sądu miejskiego do magistratu pozwana winie 300 złotych polskich na skarb miasta tyle razy podpadnie, ile razy o złamanie jego przekonaną zostanie. Czego Magistraty same dostrzegać powinny, inaczej o nieexekucją tego prawa, do sądów zadwornych, przez kogożkolwiek z obywatelów zapozwane tamże winy delatorowi 600 zlp· zapłacą".

Nadmienić należy, że przepis ten Andrzej Zamojski przeniósł dosłownie do swego projektu „zbioru praw sądowych" ułożonego na zlecenie sejmu i złożonego mu w 1778 r. [10])

Tak zabezpieczona od rywalizacji stanów niższych, sama niczem nieograniczona, szlachta współzawodniczyła pomiędzy sobą bogactwem strojów, starając się dorównać w tym względzie magnatom i senatorom, którzy w coraz to nowych, i coraz bardziej wyszukanych strojach szukali sposobu odróżnienia się od szarego gminu szlacheckiego.

(C. d. n.). *Józef Lange.*

KRYTYKA.

J. Barbey d'Aurevilly w Polsce. [1])

Dobry jest szatan i państwo jego rozkoszy: noc" — powiada w słynnej noweli swej *Aryman mści się* Stefan Żeromski. Słowa te mógłby powiedzieć także Barbey d'Aurevilly, lecz jakże inaczej brzmiałyby one w ustach francuskiego pisarza! U Żeromskiego wyznanie to wydziera się z duszy, jak z otchłani męczeństwa, przebija się przez kolejne warstwy rozczarowania, żalu i rozpaczy; myśl, która je natchnęła, dźwiga się z barłogu, jak zbuntowany niewolnik, próbujący rozkuć więzy i ręką w łańcuch zakutą bluźniący — Bogu. Francuz to samo wyznanie szepce w upojeniu ekstazy. Mówi je szeptem, gdyż dreszcz ściska mu gardło, lecz pragnąłby je roznieść grzmotem po całym świecie, rozgłosić przez tryumfalne surmy.

Różnica między obu autorami wynika stąd, iż Żeromski nie wierzy w Boga, któremu bluźni, d'Aurevilly, natomiast, jest głęboko wierzącym katolikiem, któremu bluźnierstwo sprawia przewrotną rozkosz. Dla autora „Popiołów" ucieczka w państwo szatana jest odruchem śmiertelnie znużonego wędrowca, który aby spocząć, gotów jest czoło rozpalone złożyć na mrowisku. Dla autora „Les Diaboliques" kult szatana jest krynicą oszałamiającego szczęścia, krynicą, w której serce i zmysły swe kąpie on z tą samą uciechą, z jaką anieli kąpią swe pióra w promieniach łaski bożej.

Barbey d'Aurevilly z niebiańskiego stołu, podczas uczty bogów, kradnie napełnione nektarem kielichy i, zwiódłszy straże nadziemskie, biegnie z potępieńczym śmiechem w progi piekła ofiarować napój boski — szatanowi.

Jest że katolikiem ten osobliwy człowiek, który Bogu odmawiając czci, hołd składa potędze Czarta, i grzech uwielbia tak, jak inni uwielbiają cnotę?

Jest katolikiem w każdym calu Wierzy w cnotę i w grzech. Wierzy w Boga. Lęka się Szatana. Tylko że on ów swój lęk kocha. I kocha stokroć bardziej niźli swą tęsknotę za niebem Piekło jest dlań otoczone zgrozą, jak dla najprościej wierzącego serca, ale on się w tej zgrozie kocha bardziej, niż w słodyczy niebios, i ażeby miłość swą spotęgować, potęguje zgrozę.

Życie doczesne przeciwstawia się w religji życiu wiecznemu. Tę samą przeciwstawność mamy w twórczości Barbey'a. Życie ziemskie pławi się dlań w atmosferze zaświata, opłynięte jest oceanem wieczności. Człowiek zaś w jego pojęciu jest cyplem, którym doczesność wrzyna się w otchłań zaświata. Nieustannie biją weń fale nadbiegające z mroku; nieustannie wstrząsają nim wichry tajemniczego oceanu. Niemniej zgodne z religijnym na świat poglądem jest właściwe Barbey'owi pojmowanie życia, jedynie jako środka na drodze ku dopięciu celów wyższych i ostatecznych. Życie bowiem ludzkie, samo w sobie, nie jest dlań rzeczą ani ostateczną, ani bezwzględną. Ma ono wartość dla człowieka, według niego, jedynie jako m a t e r j a o f i a r y, jako przedmiot całopalenia.

Atoli ofiary owe, miast składać Bogu na poświęconych ołtarzach, ciska on w rozwartą paszczę piekieł.

D'Aurevilly jest katolikiem, tylko katolicyzm jego ma odwrócone bieguny. Piekło i niebo, Bóg i Szatan, cnota i grzech, raj i potępienie, zachowują w duszy jego tę samą siłę, tylko uległy przestawieniu: jedno — w jego duszy — zajęło miejsce drugiego.

Ręką drżącą od przemocy pragnienia zrywa on owoc zakazany i chciwymi usty smakuje jadowitą jego słodycz, rzekłbyś: napawa się treścią grzechu, wypija go do dna, cedząc kroplą za kroplą, ażeby nic z rozkoszy nie uronić. Nie jest to pogodna, pewna siebie, żądza użycia poganina, któremu zmysły dyktowały etykę i filozofię życia, na doczesności realnej opartą. Nie! W oczach Barbey'a błyskają poza czynami grzesznymi zwoje ogni piekielnych; sięgając po owoc zakazany, widzi on nad sobą nadciągającą chmurę potępienia, lecz — któż pojmie logikę buntu? — te właśnie znaki potępienia stanowią dlań urok ponęty. Popełnia on grzech nie dla samego grzechu, lecz dla cudnie - straszliwych skutków, które on za sobą pociąga. Gdy wkracza na drogę zdrożności, gdy idzie szlakiem wyklętych, rozkosz mu sprawia nie owo poczucie dzikiej swobody, jaką daje wyłamanie się z praw bożych i ludzkich, ale to głuche i złowieszcze

[10]) Zbiór praw sądowych przez Andrzeja Ordynata Zamojskiego ułożony i w roku 1778 drukiem ogłoszony, a teraz przedrukowany przez Walentego Dutkiewicza. Warszawa. 1874 str. 213.

[1]) J. Barbey d'Aurevilly: „Zemsta kobiety" i inne utwory z cyklu „Les Diaboliques". Przełożył Leon Choromański. 1912.

echo, którym z czeluści podziemnych zda się krokom potępieńca wtórować — skowyt piekła. W tę podziemną muzykę piekielną, ścigającą kroki skazańców, wsłuchuje się d'Aurevilly, jak w chóry anielskie.

— „Ani Włochy XVI wieku, ani Korsyka w jakiejkolwiek epoce, — kraje słynne z zaiadłego okrucieństwa — nie przedstawiały przykładu, czytamy w opowiadaniu o księżnie hiszpańskiej, która aby wywrzeć zemstę na swym mężu, oddała się nierządowi, — nie przedstawiały przykładu tak obmyślonej straszliwej kombinacji, jak plan tej kobiety, która mściła się sama sobą, swym ciałem, swą duszą! (Tressignies) był przerażony tą wzniosłą okropnością, bo siła uczucia, doprowadzona do takiej głębi, staje się wzniosłą. Tylko że jest to wzniosłość piekła".

Wzniosłość piekła! Tak! W zestawieniu dwu tych wyrazów tkwi, być może, synteza najistotniejszych popędów twórczości Barbey'a d'Aurevilly. Piekło otoczone świetlokręgiem zachwytu! Glorja, w którą dusze pobożne ubierają głowy świętych, zawieszona u czoła szatana — oto ogniskowy obraz jego fantazji. Z obrazów takich składa się, rzecby można, abecadło jego wyobraźni. Raz po raz rzeczy piekielne stroi on blaskami i barwami niewinności: blaskami błękitu i barwami zorzy.

Tak! Barbey d'Aurevilly był katolikiem. Lecz aby wyrazić temperaturę jego katolicyzmu, niedość jest powiedzieć, że w utworach jego żyje katolicyzm: on w nich gorejе!

— „Kiedy byłam jeszcze religijna — mówi o sobie jedna z bohaterek — zanim poznałam kochanka, który zastąpił mi Boga, musiałam mieć krucyfiks, by żarliwiej rozmyślać nad Ukrzyżowanym. A gdybym go nienawidziła, zamiast kochać, gdybym była bezbożna, to musiałabym mieć krucyfiks, by mu srożej bluźnić i znieważać go".

Oto fragment rozumowania typowy dla natur wyhodowanych wyłącznie przez kulturę katolicką i w niej zamurowanych. Język ich powstał i rozwinął się w szkole katolicyzmu. Nawet wówczas, gdy wypowiada idee przeciwkatolickie, musi je wypowiadać pokatolicku.

A jednocześnie z owego fragmentu jakże gorący bije ukrop materializmu, jak silny poryw ku wcielaniu myśli swych i uczuć w kształty widome, krwiste i pełne ognia. Ów język, wypielęgnowany na łonie religji katolickiej, jest, jak się okazuje, zarazem wybornym tłómaczem zmysłów, czułym przewodnikiem tęsknoty miłosnej. Gdy w świątyni serca umiera Bóg, zastępuje go natychmiast kochanek, będący również bogiem; ołtarz ani chwili nie pozostał pusty; nabożeństwo przed nim odprawia się bez przerwy; modlitwy nie uległy zmianie; rytuał nadal trwać będzie niezmienny.

Czyż w obrazie tym nie mamy dokładnego odbicia katolicyzmu, który nie bardzo troszcząc się o bogów, całą usilność kładzie w organizację strony obrzędowej, surowo czuwając nad jej jednolitą ciągłością?

Chcąc wiedzieć, jak trwałe są podstawy katolicyzmu, pytają wszyscy, czy się msza jeszcze odprawia? Nikt nie zapyta się o to, czy jeszcze żyje Bóg?

— „Ignacy, rycerz Przenajświętszej Dziewicy, nie kochał królowej niebios czystszą miłością, niż mnie Vasconcellos — mówi o swym kochanku księżna Sierra-Leone: — przechowywał mnie w sercu jak madonnę, z lampą u stóp, z lampą niewygasłą".

A gdy kochankowi po śmierci wydarto serce, aby je rzucić na pożarcie psom, księżna, chroniąc to ubóstwiane serce przed świętokradztwem, waży się na świętokradztwo najstraszliwsze przeciw religji: zechce komunikować się tym sercem, jak „przenajświętszą hostją" i zapyta: „Czyż nie on był Bogiem moim?"

Słysząc modlitwy bohaterek Barbey'a nabrzmiałe od żaru tłumionego zmysłów, modlitwy przeplatane spazmami rozkoszy, możnaby pomyśleć, że ich sypialnie sąsiadują z kościołem: tyle aromatu religji jest w ich zawrotnej lubieży i tyle upojenia lubieżnego w ich rozmodlonym tkaniu!

Religja pozbawiona wrzącej doprawy zmysłów wydałaby im się czymś mdłym, ckliwym, szarym i bezimiennym, jak tuman zawieszony między niebem a ziemią. Miłość, odarta z mistycznego uroku religji, byłaby chucią płaską i zwierzęcą, byłaby dla nich czymś równie pospolitym i mdłym. Ale połączyć to, co jest najgorętsze z tym, co jest w duszy niezgruntowanie głębokie: pożar zmysłów wnieść w nieobjęte przestwory tęsknot mistycznych, czerwienią krwi zapalić niepokalany lazur nad snem dusz wniebowziętych!.. Oh! Stąd dopiero poczyna się rozkosz, godna Lucifera, rozkosz, za którą zbawienie duszy nie jest zapłatą zbyt wielką, albowiem wieczność jej nie przeważy. Oh! bądź pochwalona, rozkoszy, jękiem serc strącanych w przepaść potępienia! bądź pochwalona trzaskiem druzgotanych niebios, szumem ognia pożerającego biel najczystszych marzeń, łoskotem żagwi ciśniętej ręką oszalałą w podwoje empirejskiej bramy! Bądź pochwalona, rozkoszy! Święć się na ziemi, w piekle i na niebie! w zbrodni, w grzechu, w świętokradztwie, w zatraceniu! Gdy miłość uściskiem splata ciała kochanków, gdy piersi ich łamią się od wichru uniesień i serca z rozkoszy pękają, niech razem z nimi świat wali się w otchłań, grzebiąc w nicestwie szczątki „rozpryśniętego" na druzgi Boga!

Tu dopiero widzimy w pełnym świetle tę kolosalną różnicę między światem antycznym a światem chrześcjańskim, która zazwyczaj przy porównaniu tych dwu światów ginie, pogrążona w cieniu, mianowicie, różnicę w rodzajach deprawacji, w naturze perwersji. Powszechnie świat starożytny, zwłaszcza z doby swego upadku, słynie jako niedościgniony wzór zwyrodnienia, perwersji i zepsucia. A jednak Grecja Alcybiadesów i Rzym cezarów nie znały tak głębokich stopni wyrafinowania w zepsuciu, jakie stworzyło chrześcjaństwo. Jowisz pogański, z całą girlandą swych miłosnych przygód, zarumieniłby się musiał od widoku dygocącej pożądliwością sceny kuszenia św. Antoniego — na pustyni — przez djabły. Zarumieniłby się? Nie! On by jej nie zrozumiał. Nie zrozumiałby nikt z bogów olimpijskich tej słodko-piekielnej, szatańsko-lubej zgrozy, jaka jest w scenie owej zaklęta.

Chrześcjaństwo pogłębiło możliwość upadku duszy ludzkiej o całą tę wysokość, na jaką samo skrzydłami swymi ją wzniosło ponad poziom pogaństwa. Grozę grzechu wzmocniło okropnością piekieł, rozwierających się pod stopami grzesznika. Cnotę i grzech wplotło w ekonomję wszechświata, jako dwa zasadnicze bieguny, na których osadzona jest oś odwiecznego bytu. Chrześcjaństwo stawiwszy przed człowiekiem chimerę bezgranicznego samodoskonalenia się, równocześnie odsłoniło jego oczom bezdeń samozatraty, stwarzając w ten sposób dla serc szalonych nieprzepartą pokusę zguby, bowiem wszelka nieskończo-

ność pociąga... A chrześcijaństwo umiało oblec zło w ten sam majestat nieskończoności, którym promienieje dobro. Chrześcijaństwo też dopiero jęło wznosić Bogu przybytki na wyżynach niematerjalnych wzlotów; ono to rozwarło w duszach uśmiechnięte doliny i niepokalane wąwozy, rozkwitłe liljami uczuć nieziemskich, Bogu jedynie poświęconych. A głębiej, jeszcze głębiej pod nimi, jakoby w katakumbach duszy, dokąd nie docierała rozpacz i o których nie wiedział strach, w które jedynie Bóg spoglądał z poza gwiaździstej nocy, tlił się żar niemego zachwycenia, misterjum wiekuistej ekstazy...

I owe najcichsze ogrójce duszy, strzeżone przez zachwyt i pokorę aniołów, wyobraźmy sobie nagle znieważone przez świętokradztwo zbrodni: gdyż one to właśnie w utworach Barbey'a d'Aurevilly stają się pastwą szatana! Wyobraźmy je sobie znieważone ręką i stopą wierzącego katolika, a wówczas pojmiemy dopiero niebotyczną a zarazem piekiel sięgającą skalę uczuć, w jakiej wibrują dusze bohaterów Barbey'a.

Och! jakże niewybrednym poszukiwaczem uciech ongi był w Rzymie cezar pogański! Jak opłakana była jego wszechmoc! Przy całej orgji nadużyć, jakże płytkim był on parwenjuszem zepsucia! Przy całej krwiożerczości, jakże powierzchownym artystą okrucieństwa! Kąpiąc się w morzu klejnotów, jakimż był nędzarzem, jakże upośledzonym biedakiem w wyborze wrażeń!

Cóż bowiem uczynić mógł ów mocarz w przystępie najzuchwalszej fantazji? Wyciąć legjon niewolników? — Na to dziś nie trzeba być człowiekiem: wystarcza być maszyną. Cóż mógł jeszcze? Pić krew swoich kochanek? Ćwiartować ich ciała? W chwilach żywszej pomysłowości, dusząc je u stołów biesiadnych pod deszczem kwiatowym, bawić się nagłą paniką ofiar mordowanych? Choćby wymordował tysiące, choćby dziesiątki tysięcy, nie było między trupami c i a ł ani jednej uśmierconej d u s z y: jeszcze w kobiecie nie ocknęła się naówczas dusza, jeszcze nie podniósł jej ze snu chrystjanizm, nie obdarzył parą skrzydeł, nakierowanych w zaświat, nie uczynił z jej dziewictwa przedsmaku niebios a z jej łona — kolebki odkupienia.

Dla cezarów pogańskich nie istniała rozkosz deptania ogrójców duszy, mistycznych ogrójców serca, płonących aromatem ekstazy tak żarliwej, jak niebo afrykańskie i tak czystej, jak szafir tego nieba! Rozkosz ich była tylko swawolą barbarzyństwa.

Ale mieć — i tu poczyna się psalm twórczości Barbey'a d'Aurevilly — mieć w ręku duszę kobiecą, jak śpiewną harfę, duszę strojoną przez samego Boga, o strunach czulszych sto razy niż struny eolskie, o strunach tak tkliwych, że pod pieszczotą księżyca płaczą jak pod gradem nawalnicy, — ah! posiąść taką duszę-harfę i wygrać na niej pieśń szatańską, zmącić ją przekleństwem, rzucić na jej struny hymn zemsty, wreszcie rozżagwić je łuną zbrodni, zalać purpurą brutalnej, głodnej żądzy zmysłów, obwieszczających swój tryumf głośniej niż dzwony wszystkich kościołów:—oto jest rozkosz przekraczająca wszechmoc Neronów i Heljogabalów! Rozkosz, pod którą niwę uprawić musiała piętnaście wieków kultury katolickiej, nim kwiat jej, po raz pierwszy zerwał jakiś późny następca Nerona, cezaro-papież, nowy władca prastarego Rzymu: jakiś Borgia, Medici, Farnese, Caraffa lub Riario..

W Polsce, w tym, obok Hiszpanji, dzisiaj najbardziej katolickim kraju, oddawna było miejsce dla Barbey'a d'Aurevilly'a. Miejsce to stało w literaturze puste, przez nikogo nie zajęte. Katolicyzm, aczkolwiek uporczywie trzyma się naszego społeczeństwa, naogół jednak bardzo ciasnym płynie łożyskiem, mało dając pola sprawie różnicowania się prądów i ścierania się wzajemnego fal między sobą.

Leon Choromański swym wysoce artystycznym przekładem daje nam poznać dzisiaj jedną z owych fal na morzu katolickim: fali tej na imię: „Les diaboliques". Kilkadziesiąt lat upłynęło od daty jej powstania we Francji, a niemal całe już stulecie dzieli nas od chwili, która posłużyła za tło obyczajowe dla opowiadań Barbey'a. Czy dostateczny to czas, aby u nas stały się one aktualne dzisiaj, i — były zrozumiane?

W. Rzymowski.

Z Teatru.

Jeżeli sięgniemy myślą wstecz przez ciąg letnich miesięcy i uprzytomnimy sobie wrażenia, jakie dostarczył repertuar sezonu letniego naszej „pierwszej" sceny w Teatrze Letnim, — wykreśli się dość meandryczny diagram, krzywa tworząca pozornie sejsmograficzne ząbki, w gruncie rzeczy nieubłaganie w sensie poziomu artystycznego biegnąca wdół. Cały bo sezon letni allegoryzuje powierzchownie jakby walkę Ormuzda-dramatu z Arymanem-krotochwilnością komedyjną: szła więc „Nora" i „Wieczór trzech króli" na zmianę z „Bogatym wujaszkiem", „Wielkiem bractwem" i „Gołębnikiem"; aliści znowu Ormuzd wziął górę „Judytą" i „Elektrą", i znów powalił go Aryman ostatnią premjerą „komedji" w trzech aktach Stanisława hr. Rzewuskiego p. t. „Nasi na Riwierze".

Ktoś, kto nie był na żadnej z powyższych sztuk, ani czytał recenzji, ani zna wartość naszej sceny, powiedzmy cudzoziemiec, przejrzawszy repertuar ten, rzekłby: hm-hm-ano, lalo, więc dają od czasu do czasu bombki w rodzaju „Bogatych wujaszków", ale równocześnie grają Ibsena, Szekspira, Hebbla, hoffmanstalowskiego Sofoklesa, jakaż to więc podziwu godna wytrwałość w służbie wielkiej sztuki, mimo że kanikuła ma na całym świecie swe prawa, gdzież bo w lecie... i t d. i t d.

Tak rzekłby cudzoziemiec, to jest człowiek mający akurat tyle wspólnego ze świadomością istotnego stanu dramatu u nas, ile odtwórczość „pierwszej" sceny miała wspólnego z istotą sztuk, które były wystawione. Tak zresztą z dziwną a godną lepszej sprawy... pobłażliwością zapatrywała się i większa część krytyki warszawskiej.

Nie chcę być złym prorokiem i przypuszczać iż nic się w tej mierze podczas sezonu zimowego nie zmieni, — tymczasem jednak poziom repertuaru skokami od komicznie granych dramatów do precyzjonowanych z całą powagą krotochwil spadał wraz niżej, aż wreszcie ugrzązł w beznadziejnej szarzyźnie, zatonął w kurzawce komedyjkowych szabloników, z jakich zlepiona jest sztuka Stanisława Rzewuskiego. To już jest położenie bez wyjścia. To już nie klepsko grany dobry dramat ani zewnętrznie wycackana farsa, gdzie kreacje poszczególnych aktorów usiłują utrzymać całość na jakiej takiej powierzchni, —to już dekadencja zupełna, której żadne wyreżysero-

wanie ani gra żadna nie nada rumieńców twórczego bytu.

Zapowiadano ostatnią premjerę z niesłychaną wprost bombastycznością, łączono ją trzydziestoletnim jubileuszem pisarskiej działalności autora, wyliczano całe szeregi utworów scenicznych, beletrystycznych, nawet filozoficznych Stanisława hr. Rzewuskiego, utworów pisanych w języku polskim i, a nawet przeważnie, we francuskim; z samego tonu owych preliminaryjnych krytyk, wzmianek i „sylwetek“ powstawała w umyśle czytających presumpcja o autorze jako o artyście dużej miary i... na dowód zagrano „Naszych na Riwierze“. Jeżeli słusznem jest, tak bo przypuszczać wypada, zdanie krytyków piszących przed premjerą o autorze „Tyberjusza na Kaprei“, — to zaiste wystawienie ostatniej sztuki w Teatrze Letnim było niekonsekwencją względem rzekomych a nieznanych ogółowi naszemu pisarskich walorów Stanisława hr. Rzewuskiego, a zarazem nietaktem autora względem swych reklamowych poręczycieli.

Wprawdzie autor „Naszych na Riwierze“ sam uważa swój utwór za „bezpretensjonalną komedję“, ale czy godzi się pisarzowi tak „wysoce utalentowanemu“, „poczytnemu“ i „poszukiwanemu“, czy godzi się demonstrować swój talent podobnie bezwartościowym przejawem jakiem jest owa „bezpretensjonalna komedja“. Czyż nie lepiej byłoby po dwudziestu latach absenteizmu na scenie naszej a po licznych tryumfach zagranicznych, czyż nie właściwiej byłoby przypomnieć się sztukę, którąby tylko tryumfów liczbę zolbrzymiła? Widz natomiast, zwłaszcza z generacji młodszej, może po ostatniej premjerze mieć zupełnie swoisty pogląd na twórczy poziom autora.

Czemże bo jest komedja p. t. „Nasi na Riwierze?“ Przedewszystkiem nie jest komedją, to znaczy, nie jest utworem o typowo scenicznej konstrukcji, o mocnej osi konfliktu, jest natomiast szeregiem sytuacyjnych trzyaktowych perpetji, tuzinkowych w założeniu, nieciekawych w przeprowadzeniu, a zgoła szablonowych w finale. Doprawdy miało się chęć, aby owe przez pierwdwa akty niecnie uwodzone owleczki-żony, nie pogodziły się, jak na cnotliwą tendencję przystoi, ze szlachetnymi swymi mężami, lecz zdradziły ich naprawdę, — ten bo może zwrot wyprowadziłby sztukę z umiarkowanego truchta, jakim człapała ona przez wieczór cały, po utartym gościńcu taniej psychologji, zerkając kokieteryjnie ku błędnym ścieżkom grzeszków i sprowadziłby może w jaki ciekawy gaik, z któregoby wyjście zależało od musowych, istotnie orginalnych wysiłków autora. Tymczasem zaś uraczono nas bezpomysłową zgoła historją o pokroju przypominającym drugorzędne konwersacyjne „komedje“ współczesnego repertuaru francuskiego, o bohaterach skuzynowanych trochę z powieściowemi sylwetkami Wincentego hr. Łosia, trochę z utartymi humorystycznemi typami nowelek drukowanych po odcinkach „Kurjerków“ w święta. Ani razu przez cały ciąg akcji nie zaiskrzył się istotny dowcip, ani razu żadna nie zabłysła niespodzianka, ani razu bieg sztuki nie zagłębił się choćby tuż pod powierzchnią samą, utwór nużył i nudził, wreszcie wzbudzał litość jak tabetyk usiłujący tańczyć mazura.

I nie na wiele przydała się składność w grze zespołu artystów, składność bez której w męczeńskich bólach zamierały poprzednio wystawione dramaty. Możliwem, że „łatwość“ sztuki przyczyniła się nie mało, ale szło ze sceny wrażenie starannego wyreżyserowania. Grający czuli się w swych rolach doskonale, wypełnić bo je mogli bez szturmu, wprost rutyną. P. P. Wilczyński, Hryniewicz, Staszkowski i Owerłło, Janusz (ten ostatni, zdaje się, w najbardziej dla siebie właściwym emploi charakterystyczno-komicznego amanta), Kawalski, Różański i Skarzyński całkowicie wypełniali ramy sztuki. Paniom Laris-Pawińskiej i Sulimie było bardzo do twarzy w toaletach i w grze. Klasyczną „teściowę“ reprezentowała p. Żółkowska. Całość dopełniały panie Junosza i Mrockowska.

* * *

Teatr Mały z uporem godnym lepszej sprawy urządza retrospektywny przegląd krotochwil z nawrotami do jednego i tego samego nawet autora. Przed paru tygodniami wystawiono tam farsę Mosera, teraz znów wznowiono tegoż „Wojnę podczas pokoju“. Podobno, że ongi ludzie bawili się na tej sztuce, o ile że graną ona była przez aktorów Teatru Rozmaitości, lecz na jakiej zasadzie wydobyto starowinkę zagrzebaną w kurzu szuflad reżyserskich i wdzięczyć się jej spróchniałymi wdzięki nakazano, — pytanie to rozstrzygnąć może tylko atmoferyczna możliwość słonecznych udarów, ważąca się nad Warszawą w kanikularnych upałach. Die komische Alle starej niemieckiej farsy, sztukę próbującą zabawnie musować fermentem skwaśniałego, zastałego piwa zlokalizowano na grunt niższy publiczce, austryjacki (choć c. k. oficerowie połyskiwali tu i owdzie mundurami armji rosyjskiej) i usiłowano z tak niezwykle przybranego truposza wydobywać humor w ciągu pięciu (oh!) aktów. Smutny jednak był ten wesoły wieczór. W momentach najszczęśliwszych, blady uśmiech jaki pojawiał się na twarzach widzów graniczył ze spazmem ziewnięcia. I nie ma na wiele przydała się praca poszczególnych aktorów i aktorek, wysiłki ledwie że mogły wywołać nieco galwanicznych odruchów z martwej mumji niemieckiej krotochwilności. W rezultacie szkoda było tych miłych linji jakie dała w swej sylwecie p. Kalinowska, szkoda było zdzierania sobie strun głosowych przez p. Kuncewicza, szkoda było płonych trudów reszty zespołu.

Kazimierz Wroczyński.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** Dotychczas galicyjscy narodowi-demokraci tłomaczyli konieczność walki z rusinami, egoizmem narodowym na wzór pruski, wskazania praktyczne czerpiąc z na wzór pruski skonstruowanych przez p. Dmowskiego myśli nowoczesnego Polaka. Obecnie t. zw. „Kwestja ruska“ doczekała się bardziej naukowego ujęcia, z kolei, — na wzór Iłowajskiego. P. Balicki w *Przeglądzie Narodowym* nie po raz pierwszy teoretycznie uzasadnia hasła praktyczne swego przyjaciela, tym razem jednak czyni to w sposób wysoce oryginalny. Według *Przeglądu Narodowego*, Austrja weszła w ostatnich czasach otwarcie na drogę sztucznego wyśrubowania podległego jej odłamu plemienia ruskiego do godności narodu politycznego. Rusini, którzy w granicach Rosji

zadowoliliby się jakąś katedrą historji, literatury lub języka, w Galicji żądają pełnej wszechnicy ruskiej! Otóż — „za pieniądze, zwłaszcza rządowe, (Rusini widocznie według p. Balickiego podatków nie płacą)—wiele nabyć można, ale nie można nabyć tego, co jest wytworem samoistych dziejów, własnej kultury narodowej i pracy pokoleń w zakresie wyższych potrzeb duchowych". A tego wszystkiego ani dzisiaj, ani nigdy, ani za pieniądze rządowe, ani bez nich Rusini mieć nie będą, ponieważ:

> (Rusini) stanowią osobliwy w Europie żywioł nie posiadający analogji śród innych ludów. Osobliwość jego to właśnie stanowi, że nie posiada on wyraźnie zarysowanej etniczno-politycznej fizjonomji, i to nietylko w oczach innych, ale nawet w swych własnych. Nie jest on narodem we właściwym tego słowa znaczeniu, bo nie był nigdy państwem we właściwym tego słowa znaczeniu. Jedno tylko nie ulega wątpliwości, że pragnie on, instynktowo lub świadomie, utrzymać w pewnym zakresie swą odrębność plemienną, a więc język, obyczaje, kulturę rodzimą, szczupłe tradycje prze- [illegible]

Istotnie, osobliwy to „naród" który pragnie „instynktowo lub świadomie" utrzymywać to, do czego mu odmawia praw jego niewyraźnie zarysowana etniczno polityczna fizjonomja, która pomimo ciemnoty mas ludowych wśród Polaków i Rosjan nie utraciła swych cech charakterystycznych! Według *Przeglądu Narodowego*:

> Rusini są odrębną grupą plemienną szczepu wschodnio-słowiańskiego, ale nie są i nie będą nigdy ani narodem, ani samodzielnym żywiołem państwowym, nie są nawet żywiołem, na którymby jakakolwiek państwowość oprzeć się mogła ze względu na właściwości swego charakteru.

P. Balicki przypuszcza, że powołanie takiego narodu do życia państwowego zrodzić może nieobliczalne wprost następstwa polityczne „żywioły, których przodkowie tworzyli dawną kozaczyznę i hajdamaczyznę, a nadto żywioły świeżo zaprawione na ruchu rewolucyjnym południowo-rosyjskiego typu" sprawiły że w Austrji powtórzyć się musiała historja Chmielnickiego i dzieje Rzeczypospolitej! „Monarchja Habsburgów dojrzałaby w krótkim czasie do likwidacji swoich dzierżaw".

Gdyby wywody p. Balickiego miały cośkolwiek wspólnego z logiką, stosunki europejskie uledzby musiały natychmiastowemu przeobrażeniu: ludność romańska w Alpach, ciesząca się do dziś szeroką autonomją językową, więcej nawet, gdyż w związkowym szwajcarskim parlamencie przemawiająca w swym starodawnym narzeczu, powinna utracić swe prawa, gdyż „we właściwym znaczeniu tego słowa" nie jest narodem; natomiast garstce serbów łużyckich, należałoby dać autonomję conajmniej tak szeroką jak galicyjska, gdyż byli kiedyś państwem samodzielnym, a więc do dzisiaj mogłaby się śmiało opierać na nich każda państwowość. Niestety, historja tworząc państwa, i samodzielne jednostki państwowe, nigdy przeszłości nie pyta o pozwolenie...

*** *Słowo* rozpoczęło już przedwyborczą komedję. Odgrywa rolę wielkiego przyjaciela żydów i nie szczędzi im dobrych rad. *Słowo* ostrzega żydów, aby nie oddawali głosów na kandydatów postępowych:

> Każde wybory zaostrzają u nas kwestję żydowską. Przyczyną — tego stanowisko, jakie zajmują żydzi w akcji wyborczej. Rzucają się w nią namiętnie i idą przeciw polskiej większości, już to wysuwając własnych kandydatów, już to popierając przedstawicieli kierunków radykalnych, których [illegible] opinji politycznej polskiej — nie życzy.

Zidentyfikowawszy w ten sposób wolę ustawy wyborczej z dnia 16 czerwca, z życzeniami „szerszego ogółu" *Słowo* wskazuje dyskretnie żydom właściwą drogę:

> Tej nieoględności zrównoważyć nie jest w stanie szczupłe grono zasłużonych obywateli Polski wyznania mojżeszowego, biorących czynny udział w pracy rozumnej, twórczej. Większości żydów smakują krzykliwe hasła.

Słowo pragnie kwestję żydowską rozwiązać w ten sposób, aby przynajmniej na czas wyborów „żydzi" stali się „zasłużonymi obywatelami, mojżeszowego wyznania".

Z prasy rosyjskiej.

*** Pan Pogodin w *Birż. Wiedomostiach* pisząc o nastrojach przedwyborczych w Polsce stwierdza nadmierny pesymizmu Polaków, niczem nieusprawiedliwiony jego zdaniem, gdyż „żadnych oznak zwyrodnienia lub osłabienia uczucia narodowego nie można się dopatrzeć w żadnej części dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Przeciwnie, ekonomiczny i kulturalny ich rozwój posuwa się naprzód i dzisiejsze warunki bądź co bądź są przyjaźniejsze dla tego rozwoju niż dawne",

Nie podziela również poglądu Polaków na walkę narodowościową, którą wszczyna przeciw nim „naród rosyjski".

Walkę narorodowościową prowadzą tylko nacjonaliści.

> Ale czy społeczeństwo rosyjskie choć przez jeden dzień uważało tych wszystkich panów za swoich „najlepszych ludzi", czyż nie widziało w nich raczej wyrzutków moralnych, którzy w chwili największej męczarni narodu nie umieli wyrzec ani jednego mężnego słowa, obronić choćby jedno z praw?"

Wierzymy na słowo autorowi że społeczeństwo rosyjskie jest dużo lepsze niż jego dzisiejsi przedstawiciele, ale na tej wierze żadnego programu politycznego zbudować nie może. Jeżeli to dobre społeczeństwo jest tak bezsilne lub cierpliwe, że musi wyrzutkom moralnym pozostawić w rękach kierunek spraw politycznych, to trudno przypuszczać, aby ono nas przed nimi obronić mogło, a jego wyższość jest równie bezpożyteczna dla niego samego jak i dla nas.

> Gdyby Polska uginała się pod naciskiem naszych „patrjotów", a my ludzie rosyjscy, w których nawet *Nowoje Wremia* nie może się doszukać „inorodców", napawalibyśmy się wolnościami i prawami, to pesymizm polskiej opinji publicznej byłby zupełnie usprawiedliwiony.
>
> Ale tak przecie nie jest. Każda gubernia rosyjska zupełnie tak samo cierpi pod jarzmem nacjonalistów i październikowców jak Polska. Kaukaz, Finlandja. To też pierwszym hasłem walki przedwyborczej dla wszystkich obywateli państwa rosyjskiego, którzy pragną, aby Rosja ze wszystkimi jej częściami nie zginęła i nie została ujarzmiona przez cudzoziemców, ani też rozdrapana przez nacjonalistów powinna być legalna obrona zasad konstytucyjnych

Chyba ten ostatni ustęp dostatecznie uwydatnia głębokie nieporozumienie tkwiące na dnie całego rozumowania pana Pogodina, a za nieporozumienie to odpowiedzialność spada w znacznej mierze i na naszych przedstawicieli, którzy z naciskiem zapewniali w swych mowach, że kieruje nimi w pierwszym rzędzie troska o bezpieczeństwo i pomyślność państwa rosyjskiego.

Ztąd mylny wniosek, że Polska cierpi tak samo i tylko z tych samych powodów, co gubernia Tulska, Kałuska, Samarska. Zapomina pan Pogodin, że Polska cierpi zupełnie inaczej niż jego rodacy nad Dźwiną i Wołgą.

*** W prasie rosyjskiej wszystkich odcieni wre agitacja przedwyborcza. Organizują się wszystkie żywioły postępowe zgrupowane wokoło gazet: *Riecz*, *Russkija wiedomosti* i *Ruskoje słowo* etc.— daje się słyszeć nawoływania prasy prawicowej -- a nawet duchowieństwo prawosławne występuje do walki o mandaty z zamiarem utworzenia w 4-ej Dumie grupy uzależnionej bezpośrednio od biskupów. Kwestja frakcji duchowieństwa, któraliczyłaby około 100 posłów z różnych stron Cesarstwa uzależnia się jeszcze od ostatecznej decyzji Synodu i Rady ministrów.

Tymczasem prawie wszystkie gazety jednocześnie narzekają na ospałość wyborców, którzy nie zgłaszają dotąd swoich praw wyborczych. *Now. Wremja* pisze — motywując zjawisko:

> Cała Rosja rolnicza jest całkowicie pochłonięta pracami polnymi, które nie znoszą nawet najmniejszej zwłoki — natomiast Rosja inteligentna i oficjalna jest pogrążoną w spoczynku.

Russkoje słowo — nieustannie nawołuje do czynnego udziału w wyborach:

> Rosja i Europa!
>
> Kampanja wyborcza u nas i u nich! W Europie, jako też w każdym świecie konstytucyjnym kampanja wyborcza i wybór posłów jest momentem najbardziej jaskrawym w przejawach spółczesnego życia politycznego. Jest to sprawa społeczna, dla której ludzie odrywają się od codziennej pracy, rzucają pług, biurko, warsztat, ażeby tylko wystąpić jako czynni budowniczowie tego lub innego kierunku polityki państwowej.
>
> Czas przedwyborczy w Europie -- to czas gorących sporów, licznych zebrań, usilnej agitacji i walki o mandaty poselskie.
>
> Tak jest w Europie A u nas? Martwa [illegible]

Możnaby jednak pocieszyć publicystów *Ruskiego słowa*. Wiele, wiele stokroć aktualniejszych spraw ma u nas nieco inne oblicze niż w Europie. A przecie trzeba się z tym pogodzić. Martwa [illegible]

KRONIKA.

ZJAZD W RAPPERSWILU. Dnia 5-go b. m rozpoczęła obrady doroczne Rada Muzeum Rapperswilskiego. Długotrwała burza nie pozostała bez echa na posiedzenia plenarne dopuszczono korespondentów pism; w obradach uczestniczyli delegaci Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Narodowego w Rapperswilu, oraz grono obywateli z Warszawy.

Energiczna akcja delegacji warszawskiej i krakowskiej skłoniła Radę do urzeczywistnienia oddawna pożądanych reform. Uchwalono wybrać komisję stałą rzeczoznawców, która 1) przygotuje na przyszły zjazd projekt zmian, tyczących się prowadzenia Muzeum, archiwum i bibljoteki, zgodnie nietylko z intencją założycieli, ale także z potrzebami i wymaganiami wiedzy i z uwzględnieniem rozporządzalnych funduszów; 2) rozklasyfikuje zbiory podług ich charakteru. W skład tej komisji wejdą: Bronisław [illegible] Lwowie; dr. Pagaczewski, prof historji sztuki na uniw. Jag.; Bolesław Erzepko, dyr. muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu; Józef Korzeniowski, kustosz bibl. Jagiellońskiej; antykwarjusz Gustaw Soubis-Bisier; Edward Goldstein, kustosz hon. muzeum Czapskich w Krakowie; d-r Batowski, kustosz bibljoteki uniw. we Lwowie; adwokat Tadeusz Wróblewski z Wilna. Do komisji, z ramienia Rady Muzeum Rapperswilskiego, wstąpi jako przewodniczący d-r Czołowski, dyrektor archiwum m. Lwowa i lwowskiego Muz. Narodowego.

Trzech z obecnych członków komisji muzealnej, pp. Czołowski, Gembarzewski i hr. Krasiński zabrali się natychmiast do porządkowania Muzeum. Przedewszystkim usunięta została słynna „grupa allegoryczna Polski“ oraz inne wyroby kustosza: karabele szable i kindżały; taki sam los spotkał buławę z czasów Zygmunta I, jako falsyfikat; autentyczne mundury wojskowe wydzielono [illegible] niej w tej sali cenne sztychy Falka, niszczące się pod wpływem słońca schowane zostały do szaf; wreszcie wydano polecenie nowemu pomocnikowi kustosza, aby wszystkie napisy na kartkach przejrzał i poprawił błędy ortograficzne i stylistyczne.

KATASTROFA W KOPALNI. Wskutek nieostrożności sztygara Moddelmana, w szybie „Lotaryngja“ pod Bochum nastąpił wybuch gazów. Zginęło 115 górników, *Berliner Tageblatt* zamieszcza na liście ofiar następujące nazwiska o brzmieniu polskiem: Krystowiak, Klis, Radaj, Modzelewski, Dworak, Kaszyński, Kaźmierczak, Kiszka, Machowiak, Bogus, Dobrzycki, Tomaszewiki Paluszkiewicz, Terkownik, Szafranowski, Michalski, Gajewski, Dworak, Brozik, Kalembo, Jamusiek, Brusik, Biernat, Kubiak, Świdzik, Bawulski. Mrówka, Werbic, Seyda, Wojtuś, Wojtko, Kaczorowski, Kluszek, Jastrzębski, Poznański, Karski, Czuniak, Maluski, Marek, Sarna

UCZCZENIE PAMIĘCI KRASZEWSKIEGO. Ponieważ pierwotny projekt wmurowania tablicy pamiątkowej na domu, w którym mieszkał i pracował J. I. Kraszewski, nie może być urzeczywistniony, Zarząd Tow Literatów i Dziennikarzy Polskich postanowił zamówić u jednego z artystów-rzeźbiarzy biust Kraszewskiego i ofiarować go do czytelni Bibljoteki Publicznej

Niezależnie od tego, Towarzystwo organizuje wieczór ku czci Kraszewskiego w pierwszych dniach października.

PRZENIESIENIE ZWŁOK GROTTGERA. Prezydjum m. Lwowa uchwaliło wybudować nowy grobowiec, obok grobowca prezydenta Michalskiego i przenieść do niego trumnę Artura Grottgera.

NOWA USTAWA PRZEMYSŁU GÓRNICZEGO. Ministerjum handlu rozpatruje obecnie ogólną ustawę przemysłu górniczego. W projekcie zmian szczególną uwagę zwrócono na artykuły ustawy, związane z przyczyną strajku nad Leną. Według nowej ustawy, wypłaty odbywać się mają raz na miesiąc i tylko w miejscowościach bardziej oddalonych można będzie za pozwoleniem zarządu górniczego urządzać wypłatę po skończeniu operacji kopalnianych. Ostateczna regulacja rachunku może się odbywać tylko w gotówce Wszelkie zerwanie umowy pracodawcy z robotnikami i na odwrót powinno być sądownie zatwierdzone. Nie przyjmuje się do pracy [illegible]

Prenumerata „Prawdy"
wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz do domu.

z przesyłką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10

[illegible]

Redaktor przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt od 4—5 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyj[illegible]

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w War[illegible] cji pisma i w kjoskach

[illegible]

Za redaktora: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, Ś-to Krzyska 11.